DRZWI DO PIEKŁA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji kliknij tutaj.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji. Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z regulaminem serwisu.

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym Bookarnia Online.

Ostatnio ukazały się:

Krzysztof Piskorski – Zadra. Tom II

Anna Brzezińska – Opowieści z Wilżyńskiej Doliny (wyd. II)

Krzysztof Kochański – Zabójca czarownic

Mariusz Kaszyński – Martwe światło

Magdalena Salik – Gildia Hordów

W przygotowaniu:

Jakub Ćwiek – Ofensywa szulerów

Anna Brzezińska – Letni deszcz. Sztylet (Saga o zbóju Twardokęsku, cz. 4)

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

DRZWI DO PIEKŁA

Agencja Wydawnicza
RUNA

DRZWI DO PIEKŁA

Copyright © by Krzysztof Kochański, Warszawa 2009
Copyright © for the cover illustration by Tomasz Maroński
Copyright © 2009 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2009

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved
Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Opracowanie graficzne okładki: własne
Redakcja: Jadwiga Piller
Korekta: Magdalena Górnicka
Skład: własny
Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43, 30–701 Kraków

Wydanie I
Warszawa 2009
ISBN: 978–83–89595–54–6

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.
Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:
Agencja Wydawnicza RUNA
00–844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436
tel./fax: (0–22) 45 70 385
e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:
www.runa.pl

Śmierć trolla

Gdyby ktoś zapytał Marcina Sztoldo, czy naprawdę wierzy, że jego dziadek jest trollem, odpowiedziałby, że nie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zachowałby się inaczej. Jednak przecząc, Marcin nie ośmieliłby się patrzeć rozmówcy prosto w oczy. Nie żeby kłamał; nie był aż tak obłudny (lub szalony).

Po prostu nie miał pewności.

Czasami – szczególnie gdy przebywał sam, a wokół panowała ciemność – jego serce ściskał potwór, bestia o czarnych jak węgiel paluchach. Trzymała je tak długo, dopóki trwały wspomnienia lub coś, co tylko wspomnieniem się wydawało. Projekcja dziecięcego umysłu podszywająca się pod rzeczywistość.

Miał wtedy dziesięć lat. Teraz, gdy liczył sobie czterdzieści, tamten chłopiec był mu bardziej obcy od syna sąsiada, który uparł się, żeby zostać Konstantym Kulką i przeraźliwym rzężeniem skrzypiec uprzykrzał życie sąsiadom w bloku. Zdecydowanie bardziej obcy.

Jak wierzyć takiemu komuś?

†††

Dziadek mieszkał na peryferiach miasta, w niewielkim domku z ogródkiem. Marcin był jego jedynym wnukiem, synem córki jedynaczki. Ojca Marcin nie znał. Gdy był mały, wmówiono mu, że tata zginął na motorze marki Jawa (pamiętał, z jaką dumą opowiadał to kolegom), nie zwolniwszy w porę podczas pokonywania zakrętu. Potem okazało się, że nie była to prawda, matka nigdy nie wyszła za mąż, a sprawca studenckiej ciąży zniknął za granicą. Ale dzieciństwo Marcin miał nie najgorsze. Anna Sztoldo była zaradną kobietą.

Bardziej niż ojca brakowało mu babci.

Tęsknił za tą kobietą, choć nigdy jej nie poznał: uciekła od dziadka, zanim Marcin pojawił się na świecie. Chłopiec nie słyszał jej bajek, nie jadł przyrządzanego przez nią rozgotowanego ryżu z truskawkami i nie robił setki innych rzeczy, które, jak sobie to wyobrażał, wnukowie robią z babciami. Za tym właśnie tęsknił.

Uciekła z kochankiem. Historia jak z harlekinowego romansu, ale tytułowa postać była nieco starsza. Babcia miała wówczas czterdzieści siedem lat.

Do dziesiątego roku życia, do dnia, w którym dziadek przyznał się, że jest trollem, Marcin często bywał w jego domu.

– Dlaczego nie zamieszkamy razem? – pytał niejednokrotnie matkę.

– Och, nie marudź – zbywała syna stropiona Anna Sztoldo, aż pewnego dnia, gdy był już wystarczająco

duży, by samodzielnie jeździć miejskim autobusem, wyjaśniła: – Bo dziadek nie chce.

Już wtedy coś mu nie pasowało.

– Kto by chciał mieszkać sam?

– On chce.

Zatem spędzał u dziadka dwa dni w tygodniu, kiedy matka wyjeżdżała na zebrania zarządu firmy, w której filii była kierowniczką.

†††

Tamtego dnia pojawił się w czwartek.

Zazwyczaj przyjeżdżał we wtorki i piątki, w tych samych godzinach, zaraz po szkole, ale w firmie matki coś się wydarzyło i Anna Sztoldo niezwłocznie stawiła się w dyrekcji, zapominając powiadomić o tym fakcie swego samotnego ojca.

Marcin na próżno naciskał przy furtce dzwonek z domofonem, aż w końcu nabrał pewności, że dziadka nie ma w domu, włożył rękę między sztachety i otworzył sobie sam. Rzucił plecak z książkami na betonowy podjazd i po chwili bezmyślnego kręcenia się po ogródku wszedł na schody. Nacisnął klamkę u drzwi. Okazało się, że dom jest otwarty.

– Dziadku! – krzyknął, znalazłszy się w chłodnym przedpokoju, w którym jak zawsze panował charakterystyczny zapach. Nigdzie indziej tak nie pachniało (starym drewnem, żywicą?).

– Dziadku!

Nikt nie odpowiedział.

Gdzieś od strony kuchni trzasnęło niezamknięte okno. Był przeciąg. Wiele lat później Marcin zastanawiał się, skąd przyszło mu do głowy, że przeciąg mógł zatrzasnąć drzwi do piwnicy, i nie znajdował odpowiedzi. Jakiś przebłysk intuicji, diabelski podszept, przypadek...

Otworzył te drzwi i zobaczył, że pali się światło. Zakurzona żarówka bez oprawki oświetlała schody. Ostrożnie, żeby nie poślizgnąć się na starych, wyszczerbionych stopniach, powoli zszedł na dół. Znajdowało się tu kilka pomieszczeń – piwnica była duża, podpiwniczono cały budynek, a garaż znajdował się na zewnątrz.

Najpierw wydawało mu się, że coś słyszy. Zastygł w bezruchu, usiłując wychwycić ten dźwięk, i nagle rzeczywiście huknęło, aż podskoczył jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

– Cholera! – dobiegło z oddali.

Głos dziadka.

Ośmielony, poszedł w tamtym kierunku i po chwili stał w ościeżach najdalszego piwnicznego pomieszczenia. Pachniało wilgotną ziemią. Dziadek zasypywał dół, przyklepując ziemię za każdym ruchem łopaty. Obok leżało kilka kamieni i wykruszonych starych cegłówek.

– Cześć, dziadku – powiedział i wtedy stało się coś dziwnego.

Dziadek zamarł z wyciągniętą do przodu łopatą i stał tak przez dobrych kilka sekund. Zupełnie jakby zamarzł, dotknięty lodowym wichrem.

– Cześć... – powtórzył nieśmiało Marcin, schrypniętym głosem, bo nieoczekiwanie zaschło mu w gardle. Poczuł się nieswojo.

Wreszcie dziadek drgnął, powoli odwrócił głowę, dziwacznie, jak sowa, którą Marcin kiedyś widział w zoo. Wciąż nic nie mówił.

– Co robisz? – lękliwie spytał chłopiec, nie mogąc znieść milczenia.

– Musiałem sprawdzić, czy nie próbują wyjść – powiedział dziadek. Patrzył na Marcina jak na szybę, której się nie widzi, bo nie ona jest ważna, lecz widok za oknem.

– Kto?

– Oni – odrzekł dziadek, pochylając głowę i patrząc pod nogi. Nagle wyprostował się. Głęboki wdech i wydech, jakby wydostał się spod wody. Spojrzenie nabrało wyrazu, zamrugał mocno powiekami, aż zatańczyły siwe, krzaczaste brwi. – Trolle.

Marcin myślał, że się przesłyszał.

– Jakie trolle?

Przez moment na twarzy dziadka pojawiło się szczere zdumienie.

– Nie wiesz, kim są trolle, chłopcze?

– Nooo... wiem... tak w ogóle... Ale przecież one nie istnieją.

Dziadek chrząknął. Podrapał się po samym czubku głowy, jak zwykł czynić w chwilach zastanowienia.

– Nie istnieją, mówisz? – Jego głos nabierał zwyczajnej, znajomej barwy. – No to coś ci pokażę. Ale musisz obiecać, że dochowasz tajemnicy.

Dziadek powoli odłożył łopatę.

Marcin skinął głową. Przełknął głośno ślinę. W gardle czuł ucisk.

Dziadek pochylił się, podwinął nogawkę spodni i ściągnął but. Wyprostował się, czerwony na twarzy i przez chwilę stał tak, w samej skarpetce na jednej nodze, i spoglądał pytająco na wnuka, który nadal nic nie rozumiał. W końcu schylił się ponownie i zdjął również skarpetkę.

– Widzisz? – zapytał.

Marcin widział. Stopa dziadka nie miała palców. Była szara, prawie czarna. Przypominała drewniane prawidło do eleganckich butów matki, mających przeczekać nieodpowiednie miesiące. Ale była znacznie większa i pokryta mnóstwem siwiejących włosów.

Stopa trolla.

Dotąd nie miał pojęcia, jak powinna wyglądać stopa trolla, ale nikt nic nie musiał mówić. Od razu wiedział, że to ona. Stopa trolla.

– Dawno temu wylazłem z tej dziury i pożarłem twojego dziadka – oznajmił stwór. – Inni pewnie też by chcieli wyjść, ale niedoczekanie! – Postukał obutą nogą w świeżą ziemię.

Za plecami Marcina znajdowały się otwarte na oścież drzwi. Długi piwniczny korytarz, potem schody w górę i drugie drzwi, na słoneczny świat. O ile nie zatrzasnął ich przeciąg!!! Ten sytuacyjny plan przewijał się w przerażonym umyśle dziesięciolatka, usiłującego wydostać się z matni. Ale bardzo trudno jest się cofnąć, nawet o milimetr, kiedy w chłodzie piwnicy słyszy się takie słowa.

– Niedoczekanie!

A już w ogóle nie ma mowy, żeby się odezwać.

Dziadek sięgnął po skarpetkę. Nakładał ją przez tysiąc lat, w złowrogim milczeniu, a Marcin wciąż stał jak zaklęty, słysząc łomot własnego serca. Lecz tylko wieczność nie ma końca, więc wreszcie i but znalazł się na miejscu.

– Pamiętaj. Obiecałeś zachować tajemnicę – powiedział dziadek, zawiązując sznurowadło.

Marcin bardzo chciał przytaknąć; och, jak bardzo tego pragnął, ale tkwił w zastygłej woskowej bryle, która na nic nie pozwalała.

– Ci, którzy nie potrafią dochować tajemnicy – dodał dziadek – zostają pożarci.

Później nie wiadomo ile razy Marcin zastanawiał się, jak by się to wszystko skończyło, gdyby przeciąg znów nie zatrzasnął tamtych drzwi. Ale mógł tylko spekulować. Przeciąg zrobił swoje.

Trzask!

Huknęło w oddali i jak na sygnał startera rozpadł się wosk. Marcin odzyskał władzę nad ciałem, odwrócił się i pognał niczym zając, dokładnie według scenariusza pragnień: korytarz, schody, drzwi. Drzwi były zamknięte, wszak to nad nimi znęcał się przeciąg. Przez przerażająco długą sekundę myślał, że nie poradzi sobie z ich otwarciem, ale to tylko panika usiłowała zawładnąć zalęknionym umysłem. Wyłożył się jak długi na posadzce przedpokoju, wstał, jednym pchnięciem staranował drzwi wyjściowe i wreszcie wypadł na otwarty świat. Było jasno jak w niebie.

Ciekawe, że uciekając na ulicę, pochwycił pozostawiony na podjeździe plecak z książkami.

ǂǂǂ

– Umarł – powiedziała matka.

Czterdziestoletni Marcin Sztoldo, zatwardziały kawaler, samotnik i dziwak, poczuł się dziwnie lekko.

– Kiedy?

Jakby za chwilę miał odfrunąć.

– Dziś w nocy.

Odsunął telefoniczną słuchawkę i patrzył na nią podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy dobiegające z otworków dźwięki są prawdziwe.

Matka wciąż była na linii, mówiła coś, więc przyłożył słuchawkę z powrotem do ucha.

– Osiemdziesiąt cztery lata to dobry wiek, żeby odejść – powiedział. Słowa same wychodziły z jego ust, nawet nie zdawał sobie sprawy, co mówi. Jak również nie wiedział, że się uśmiecha.

– Przyjdziesz na pogrzeb...? – W głosie Anny Sztoldo wyczuwało się ostrożność. Czuła, że kiedyś, dawno temu, coś się wydarzyło między jej ojcem a synem. Coś, co oddzieliło ich od siebie na zawsze. Nie miała pojęcia, o co chodziło, obaj nie chcieli o tym mówić. Marcin wręcz dostawał histerii, dała więc spokój dochodzeniom.

– Oczywiście – odparł pogodnie. Sam się zdziwił, z jaką łatwością mu to przychodzi. Zaskoczył samego siebie chęcią pójścia na ten pogrzeb; nie kierowało nim poczucie obowiązku czy winy.

– To dobrze.

Miło było słyszeć wdzięczność w jej głosie.

– Bo widzisz, on... – zacięła się na dłuższą chwilę, aż zaniepokoił się, że przerwano połączenie. – Przepisał ci swój dom.

Swój dom!

Serce Marcina Sztoldo biło jak oszalałe. Zupełnie jak trzydzieści lat temu, gdy zobaczył stopę trolla.

Dom dziadka należał teraz do niego. Wszystkie pokoje i meble. I piwnice.

Musiałem sprawdzić, czy nie próbują wyjść.

– Wspaniale – oświadczył, nawet na jotę nie zmieniając intonacji. – Mam już powyżej uszu mieszkania w bloku.

†††

Wytrzymał tylko dwie noce.

Przez pierwszą nie spał wcale. Trzy razy zbierał się na odwagę, stawał przed piwnicznym drzwiami, bosy, w piżamie, wdychając żywiczne powietrze przedpokoju (wciąż ten sam zapach; tyle lat, a zapach ten sam!) i nasłuchiwał. Nie słyszał nic. Nic a nic. Następnego dnia wziął w pracy wolny dzień i począł wertować ogłoszenia. Chciał kupić psa. Okazało się to niełatwe, przede wszystkim ze względu na warunki, jakie temu zadaniu postawił. Pies miał być dorodny, silny, nieustraszony. A najlepiej wściekły.

Nie miał pojęcia, że tak trudno jest kupić porządnego psa.

Ostatecznie skończyło się na brudnobiałym bulterierze z różowymi jak świńska skóra oczami, którego nabył w schronisku dla zwierząt. Pies może nie był tak potężny, jak Marcin tego pragnął, ale za to łeb miał wielki niczym nosorożec, a w dodatku – jak zapewniał kierownik schroniska – poprzedni właściciel pozbył się go, gdyż zwierzę pozagryzało większość kotów w okolicy (siedem, ponoć siedem było tych kotów) i jedną świnkę morską, wyprowadzoną na podwórko przez nieroztropną właścicielkę. Mogła to być prawda. Już sam wygląd psa sprawiał, że człowiek dostawał gęsiej skórki.

Drugą noc spędził w towarzystwie nowego nabytku, lecz niewiele to dało. W końcu zaczęło mu się wydawać, że słyszy dobiegające z dołu stukanie. Ale gdy schodził do przedpokoju, witała go cisza.

O czwartej nad ranem zabił drzwi piwnicy deskami i wreszcie zasnął.

Obudził się koło południa z ostrym bólem głowy. Jakby miał kaca. Bulterier stał obok łóżka i pakował pod kołdrę ciosany z kamienia łeb. Marcin Sztoldo wypuścił psa na podwórko, wziął prysznic i oglądając swą bladą twarz w łazienkowym lustrze, podjął decyzję, jaką powinien był podjąć już pierwszego dnia.

Odwalił deski, którymi zabarykadował wejście do piwnicy, zawołał psa i zszedł na dół. Zakurzona żarówka bez oprawki ledwie rozpraszała mrok. Wyszczerbione drewniane stopnie skrzypiały przy każdym kroku. Poszedł wprost do pomieszczenia na końcu korytarza.

Wcale nie było tak tajemnie, jak to zapamiętał. Wcale nie tak strasznie. W ogóle niestrasznie. Przede

wszystkim było jasno. Przez dwa spore okienka zaglądało słońce, rzucając po szarych ścianach miłe refleksy. Marcin Sztoldo odetchnął głęboko, a stojący przy nodze pies spojrzał przymilnie i usiłował zamerdać szczątkowym ogonem.

Spojrzał pod nogi. Stał na równej betonowej podłodze. Nie na czarnej, ubitej ziemi, którą z łatwością można rozkopać szpadlem. Oczywiście niewiele to znaczyło. Na podstawie tak kruchego faktu nie sposób czegokolwiek kwestionować. *Inni też by chcieli wyjść. Ale niedoczekanie!* Zalana betonem posadzka raczej umacniała wiarygodność wspomnień niż odwrotnie.

A przecież zszedł do piwnicy, żeby raz na zawsze z nimi skończyć.

W sąsiednim boksie znalazł kilof, łopatę i szpadel. Podkasał rękawy i wziął się do roboty. Przerwał tylko raz, na samym początku, kiedy stwierdził, że dostanie na dłoniach odcisków, i udał się na poszukiwanie rękawic. Nic nie znalazł, więc zrezygnował i pracował dalej. Pierwszy odcisk pękł po niecałej godzinie, ale wtedy było już Marcinowi wszystko jedno. Warstwa betonu okazała się cienka, zresztą nie musiał zrywać wszystkiego – dobrze pamiętał dziadka, stojącego z łopatą na samym środku piwnicy.

Ziemia pod posadzką tylko z wierzchu była twarda. Później poszło jak z płatka, uporał się z wykopem w ciągu następnej godziny. Kilkakrotnie zamierzał przerwać, pójść chociażby do kuchni po wodę i ukoić wyschnięte na pieprz gardło, ale zwalczał pokusę w obawie, że nie odważy się wrócić i dokończyć pracy. W dodatku za każdym razem, gdy spojrzał na bulteriera (imię! trzeba

mu dać jakieś imię!) wyczekującego w progu z godną podziwu cierpliwością, odnosił wrażenie, że zwierzę obserwuje go wzrokiem strażnika. Że WIE!

Co za wariactwo!

I po godzinie, gdy dół miał prawie metr głębokości, coś zgrzytnęło pod łopatą. Nie był to kamień. I nie były to cegłówki. Marcin Sztoldo prawie od początku wiedział, co: lampa w jednej chwili zabłysła w jego głowie, oświetlając oczywistą prawdę, lecz mimo to oczyszczał dół dalej, niczym maszyna, jakby nic do niego nie docierało. Odrzucił łopatę i grzebał w ziemi gołymi rękami. Dopiero gdy odsłonił całość, wyprostował się i zastygł nad znaleziskiem.

Patrzył długo. Strażnik bulterier piszczał żałośnie.

Wyszedł z wykopu z twarzą obojętną jak maska. Pochwycił łopatę i począł zasypywać dół. Mało obchodził go ten drugi większy szkielet. Wieczorem, leżąc w łóżku, zapłakał nad mniejszym, kobiecym, z obrączką na kościanym palcu, która – gdy zabrakło ciała – wydawała się o wiele za duża. Taką samą obrączkę miał dziadek, z charakterystyczną, niepowtarzalną zygzakowatą wstawką z białego złota.

Prawie przez całe życie Marcin Sztoldo bał się, że jego dziadek może być trollem. Teraz bał się, że trollem nie był.

ALCHEMIA

– Miki nie żyje – powiedział Romek.

Twarz miał czerwoną, oczy opuchnięte od płaczu. Stał bezradnie – drobny, anemiczny siedmiolatek – i patrzył na matkę z nadzieją, jakby oczekiwał, że wszystko można jeszcze odwrócić.

– Jak to?! – Zaskoczona Marta zerwała się z fotela. Nie żyje? Przecież rano go uciszała, gdy jak oszalały drapał pazurami w okno, podniecony widokiem siadających na parapecie gołębi. Był zdrowy jak koń, jeśli w ogóle można w ten sposób wyrazić się o kocie.

– Nie oddycha – poskarżył się chłopiec.

Przestał płakać, lecz jego wystający do przodu kościsty podbródek wciąż drżał.

Pobiegła do dziecinnego pokoju boso, wbrew regułom pozostawiając laczki przy fotelu. Podążający za matką Romek również był bez papuci, ale on prawie nigdy ich nie nosił. Niegdyś nieprzerwanie zwracała mu na to uwagę: „Spójrz na skarpetki, znowu dziurawe!”. Teraz już tego nie robiła.

Teraz była lepszą matką.

Kocur leżał na podłodze, na prawym boku, z łapami wycelowanymi w drzwi. Zbliżyła się z kamienną twarzą, przykucnęła i dotknęła szarej sierści. Nie był zimny ani sztywny – nie jak Cywil, pies, którego Marta miała w dzieciństwie i który zdechł w dniu jej maturalnego egzaminu, jakby nie mógł wybrać na odejście jakiegoś innego, mniej ważnego z tych trzystu sześćdziesięciu pięciu w roku. Wróciła wtedy do domu, rozszczebiotana, bo matematyka (pięta achillesowa) nieźle jej poszła – a tu ukochany zwierzak nie wyskoczył na przywitanie, jak to zwykł czynić zawsze, nawet jeśli szło się tylko wyrzucić śmieci. Całą radość diabli wzięli! Trzy dni później zdawała język polski; przygnębiona, przebrnęła przez ten pisemny ledwo ledwo, a potem na egzaminie wstępnym na uniwerek zabrakło jej dwóch punktów, dokładnie tyle, ile można było uzyskać za lepsze świadectwo maturalne. Wszystko przez psa, przez to, że stał się sztywny, jakby wyjęto go z zamrażarki. Do tamtej chwili nie miała pojęcia, że ciało po śmierci staje się zwykłą kłodą drewna.

Miki sztywny nie był. Ale rzeczywiście nie oddychał. Albo minęło zbyt mało czasu, albo...

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Kiedy zauważyłeś? – Popatrzyła badawczo na syna.

– Przed chwilą. Po obiedzie bawiliśmy się. Podrapał mnie.

Chłopiec wyciągnął rękę, pokazując niewidzialne ślady. One zawsze były niewidzialne, te ślady. Nie pamiętała, żeby Miki kiedykolwiek naprawdę podrapał jej syna.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji kliknij tutaj.

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji. Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z regulaminem serwisu.

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym Bookarnia Online.